Kelly Creagh, *Nevermore - Kruk*

Rozdział pierwszy
ZADANIE

Pod koniec czwartej lekcji szum w głowie Isobel, wywołany porannym espresso, już dawno ustąpił. Ziewnęła, czując, że zbliża się klęska, i poruszyła się na krześle, podczas gdy pan Swanson nawijał monotonnie o zielonookim potworze Desdemonie, wżdy, zaiste i zaprawdę. Raz za razem poprawiała spiralny wzór, który dosłownie wyryła już na niebieskiej okładce zeszytu.

- To tyle – powiedział pan Swanson, zamykając wreszcie swój bardzo gruby podręcznik dla nauczycieli. Cała klasa poszła za jego przykładem i rozległ się jednobrzmiący trzask. – W poniedziałek tematem naszej dalszej dyskusji będzie Jago i jego rzekoma uczciwość.

Isobel wyprostowała się krześle, odgarnęła jasne włosy na ramię i z rozkoszą zamknęła swoją książkę.

- Ale czekajcie, czekajcie – powiedział nauczyciel ponad szmerem i szuraniem krzeseł. Uniósł obie ręce, po czym je opuścił, jakby ten ruch miał moc zatrzymania klasy w bezruchu i przywrócenia wywołanego elżbietańską literaturą otępienia, które udało mu się rzucić na wszystkich.

Uczniowie, którzy marzyli już o obiedzie i zaczęli wstawać z miejsc, opadli na nie z powrotem, a ich zadki połączyły się z krzesłami niczym magnesy. Wszędzie wokół plecaki zsuwały się z ramion, a podbródki z powrotem opierały się na dłoniach.

Można się było spodziewać, pomyślała kwaśno Isobel. Swanson nigdy nie puszczał ich przed czasem. Nigdy. A już zwłaszcza nie kwadrans przed czasem.

- Jeszcze nie idźcie i się na mnie nie denerwujcie, moi drodzy – ostrzegł, biorąc teraz stos kartek, które dla Isobel miały podejrzany wygląd świeżo wyjętych z kopiarki.

- Uwaga na materiał, który teraz rozdam – dodał, po czym polizał palec i zaczął kartkować kilka pierwszych egzemplarzy. Następnie cofnął dłoń i podał kolejny plik, a potem jeszcze jeden.

Isobel pobladła, widząc, jak kartki zbliżają się do niej. Miała nadzieję, że trafi jej się egzemplarz, na którym znalazło się stosunkowo niewiele śliny nauczyciela.

- Unikaliśmy tego już wystarczająco długo. – Westchnął z udawanym żalem. – Jestem pewien, że starsi was przed tym ostrzegali. No i proszę. To jest to. Moim zdaniem lepiej mieć to za sobą już na początku roku. Tak, zgadliście. Projekt Swansona. – Ostatnie słowa wygłosił tonem radosnym (jeśli nie szalonym), a pod jego sztywnymi, szarosiwymi wąsami pojawił się uśmiech.

Z różnych miejsc w klasie podniosły się jęki, własny zaś jęk Isobel uwiązł jej w gardle.

Projekty zajmowały czas. Dużo czasu.

- To będzie wspólna praca – ciągnął Swanson. – Termin na ostatni piątek miesiąca. To Halloween, informuję tych z was, którzy nie mają pod ręką swoich iPhone'ów, BlackBerry, Jojo czy innych kalendarzy... a mam nadzieję, że nikt nie ma, dla waszego własnego dobra.

Nuda, od której jeszcze przed chwilą kończyny Isobel stały się ociężałe, a umysł się rozleniwił, umknęła teraz ze świstem niczym płaszcz magika.

Zaraz. Powiedział „Halloween"? A tak, gdzie on miał swój kalendarz? Czyżby nie wiedział, że to data meczu futbolowego z Millings? Opanuj się, Swanson. Oddychaj. Nazywamy to powietrzem.

Jej palce mocniej zacisnęły się na długopisie. Nie odrywała wzroku od nauczyciela angielskiego, zresztą wszystkie odbiorniki ustawione były teraz na kanał Swansona.

- Ten projekt – powiedział – będzie się składał zarówno z prezentacji, jak i szczegółowego wypracowania na dziesięć stron. Chcę, żeby każda para pracujących razem uczniów, wybrała sobie znanego amerykańskiego pisarza. Dowolnego. Ale, żeby iść z duchem Halloween, niech będą to autorzy nieżyjący, dobrze? Innymi słowy, Stephen King, Heather Grahams czy James Patterson nie wchodzą w grę. Poza tym zadanie należy w całości wykonać poza klasą, bo w tej chwili jesteśmy w połowie „Otella".

Dziesięć stron? Dziesięć stron. Ogrom pracy. Zupełnie jak... cholerny adres gettysburski. Czy Swanson naprawdę miał zamiar siedzieć i czytać te wszystkie kartki?

Pewnie tak, pomyślała. I będzie zachwycony każdą chwilą lektury.

Nie rozumiała tego. Czemu Swanson musiał zadawać im ogromną pracę z terminem w dniu ważnego meczu? W tym tygodniu nigdy nic się nie robiło. Mógł przynajmniej dać im jeszcze ten weekend.

Zawsze ją to zdumiewało: nauczycielom najwyraźniej wydawało się, że uczniowie nie mają żadnego życia poza szkołą. Nie docierało do nich, że po powrocie do domu z treningu cheerleaderek, po zjedzeniu kolacji i nabazgraniu czegoś na stercie prac domowych, które już wcześniej jej zadano, w zasadzie nadchodziła pora na spanie.

Isobel szybko rozejrzała się po klasie. Musiała zlokalizować jakiegoś mózgowca, i to szybko.

Zwróciła wzrok na Julie Tamers, wybitną kujonkę pierwszego stopnia, i zaczęła układać w myślach strategiczną trasę na puste krzesło obok niej, gdy pan Swanson znowu się odezwał.

- Dla waszej wiadomości – zaczął, z dziennikiem w dłoni, opuszczonym podbródkiem i drucianymi okularami wspartymi na czubku nosa – w tym roku spróbuję czegoś nowego z nadzieją, że zarówno poszerzy to wasze horyzonty, jak i poprawi ogólne wyniki pracy. Chcę przy tym zastrzec, że wszystkie pary zostały dobrane losowo. Kiedy odczytam wasze nazwiska z listy, możecie usiąść razem, urządzić burzę mózgów, a potem iść na obiad. Na początek Josh Anderson i Amber Ricks.

Isobel poczuła, że opada jej szczęka.

Zaraz, pomyślała. Zaraz. Losowe pary to był klimat trzeciej klasy. On nie mógł mówić poważnie.

- Katltyn Binkly i Alanna Sato – ciągnął. – Dalej mamy Todda Marksa i Romelle Jenkins.

Wokół niej ci, których nazwiska już wyczytano, wstawali z miejsc i szli do przydzielonych partnerów. Isobel siedziała oszołomiona ich zapałem. Naprawdę? Tylko ona odczuwała palącą niesprawiedliwość? Czy nikt inny nie zamierzał się odezwać?

- Isobel Lanley i Varen Nethers.

Ścisnęło ją w piersi.

Och.

O nie. Nie ma mowy.

Powoli odwróciła głowę i przeciągle, z ociąganiem popatrzyła w przeciwległy kąt klasy. Siedział w ostatnim rzędzie, skulony na swoim krześle, i patrzył prosto przed siebie przez potargane atramentowe kosmyki. Na szczupłych nadgarstkach miał paski czarnej skóry, nabijane groźnymi z wyglądu srebrnymi ćwiekami.

Niemożliwe, że to działo się naprawdę.

Zapomniała o głodzie i zamiast niego czuła teraz we wnętrznościach gryzący niepokój, zastanawiając się, które z dziwacznych plotek na jego temat są prawdziwe. Przez chwilę poważnie się zastanawiała, czy nie poprosić o kogoś innego do pary, ale znała Swansona i zdała sobie sprawę, że nie przejmie się tym bardziej niż mielonym ze stołówki.

Zmarszczyła brwi i przygryzła wargę. Może, tylko może, wcale nie będzie tak źle. Gdy jednak jeszcze raz rzuciła na niego okiem, od razu zmieniła zdanie.

Zasłonięty kotarą farbowanych na czarno włosów, nawet nie zauważył jej obecności, nie mówiąc już o fakcie, że – halo! – mieli korzystać z danego im czasu, by rozmawiać o tym koszmarnym zadaniu.

Zastanawiała się, czy powinna wstać i do niego podejść, skoro wyglądało na to, że on nie ma najmniejszego zamiaru ruszyć w jej kierunku.

Zrezygnowana Isobel podniosła się i wzięła zeszyt. Zaczęła szukać dłonią paska swojego plecaka, podczas gdy jej umysł powtarzał wszystkie pogłoski, powiązane z jego nazwiskiem. Mówiono, że czasami rozmawia sam ze sobą, że uprawia czary i że ma złe oko wytatuowane na lewej łopatce. Że mieszka w podziemiach opuszczonego kościoła. Że sypia w trumnie.

Że pije krew.

Podeszła do niego spokojnym krokiem, tak jak ktoś mógłby się zbliżać do śpiącego węża.

Zgarbiony na krześle, z jedną ręką wspartą na ławce, wyglądał jak długa linia czerni. Znoszone, ciasno zasznurowane buciory skrzyżował na wysokości kostek. Pod prawą rękę wsuniętą miał wyświechtaną czarny brulion w twardej oprawie – kilka razy widziała, jak pogrążał się w lekturze podczas lekcji.

Właściwie zawsze wydawało się, że coś notuje albo szkicuje na jego stronach, choć mogła się jedynie domyślać, co takiego. A może to wszystko zdawało się takie dziwne również dlatego, że Swanson nigdy go za to nie zbeształ, tak jak nigdy nie kazał mu czytać na głos ani nie wywoływał go odpowiedzi. Co samo w sobie też było dziwne, bo nikt nigdy nie zwrócił na to Swansonowi uwagi.

Isobel zatrzymała się w bezpiecznej, niemal półtorametrowej odległości. Czekała, przenosząc ciężar ciała z nogi na nogę. Co miała powiedzieć? „Czołem, partnerze”?

Zerknęła na zegar na ścianie. Do przerwy obiadowej zostało siedem minut.

Ooobciach, pomyślała, gdy dalej sobie siedział i gapił się w przestrzeń, jakby wcale nie istniała. Jego entuzjazm był niemal zaraźliwy.

- Słuchaj, nie odwalę całej roboty sama – powiedziała w końcu, postanawiając przełamać dość grube lody za pomocą młotka pod hasłem „żebyś wiedział”.

Nawet nie drgnął, ale się odezwał.

- Powiedziałem coś takiego?

Dźwięk jego głosu ją zaskoczył. Zupełnie jakby na poły się spodziewała, że chłopak jest odlany z wosku. Głos miał spokojny, niski i rozsądny, wcale nie opryskliwy, czego się spodziewała. Nigdy wcześniej jednak nie odezwał się w klasie. Nigdy, na pewno dobrze pamiętała.

- Nie – przyznała, tężejąc i pragnąc jedynie wybrnąć z niezręcznej sytuacji. Pomyślała, że Nikki nigdy w to nie uwierzy. Żeby ona była w parze z królem gotów? To ci dopiero wiadomość. – Pomyślałam tylko, że ci powiem... no bo wiesz, ty nic nie mówisz.

Czując się głupio jako ostatnia osoba w pomieszczeniu, która jeszcze stała, w końcu zajęła miejsce obok niego, spojrzeniem omiatając klasę.

W pojedynczych grupkach rozległ się cichy szmer, który następnie przybrał na sile, gdy wszyscy zaczęli przerzucać się pomysłami. Po wymianie zapisanych kartek z zeszytu, dwie pary już nawet wstały i wyszły. A ona wciąż tkwiła w tym samym miejscu, próbując się porozumieć z żywym trupem.

Jej szczęki się zacisnęły. Nabrała podejrzeń, że oświadczenie nauczyciela, jakoby wszystkie pary dobrano „losowo”, było jedną wielką ściemą. To pewnie był jego pomysł na dowcip, zemsta za to, że nie oddała tego głupiego wypracowania o „Don Kiszocie”.

- Skoro już wykładamy kawę na ławę, że tak powiem – przemówił, przyciągając jej uwagę z powrotem do ich wycinka przestrzeni w kącie klasy. Dziwnie było słuchać jego głosu. – Też nie zrobię tego sam.

Odwrócił głowę i pochwycił ją wzrokiem.

Zamarła, zdumiona intensywnością tego spojrzenia. Oczy miał surowe i zimne, zielone niczym blady nefryt. Podkreślone rozmazanym czarnym cieniem, nie mrugały, lecz wpatrywały się w nią przez pierzaste kosmyki czarnych jak smoła włosów, i miała wrażenie, że przez klatkę przygląda jej się zadowolony z siebie i wyrachowany kot.

Wezbrało w niej zakłopotanie, gęste i czarne niczym złoże ropy naftowej.

Kim był ten facet i na czym polegał jego problem? Jej spojrzenie podążyło na krótką chwilę do metalowego kółka, które oplatało kącik jego dolnej wargi.

Mrugnął powiekami, po czym powoli uniósł dłoń i wygiął palec w przyzywającym geście.

Zawahała się, lecz potem, posłuszna niczym pod wpływem zaklęcia, nachyliła się bliżej.

- Na co się gapisz? – szepnął.

Cofnęła się, czując żar na twarzy. Odwróciła się od niego i podniosła rękę. „SOS, Swanson. Słyszysz mnie?”

Za nią rozległ się leniwy, złowrogi szczęk łańcuchów. Zesztywniała. Opuściła rękę, a potem, podniósłszy wzrok, zobaczyła go nad sobą, wysokiego, wyprostowanego i bladego.

Stłumiła w sobie słowa protestu, gdy ujął jej rękę. Patrzyła, jak długie palce oplatają jej dłoń, a potem, nie mrugając powiekami, obserwowała czarny długopis, który pojawił się nie wiadomo skąd i zaczął przesuwać po jej skórze czubkiem równie zimnym i ostrym, jak te oczy.

O mój Boże. Pisał na niej.

Próbowała wydać jakiś dźwięk, ale nie mogła.

Jego twarz nie wyrażała emocji, gdy wykonywał długopisem krótkie, staranne pociągnięcia. Nacisk kulki długopisu łaskotał, plotąc węzły w jej żołądku.

Mogła tylko patrzeć na pierścień o kształcie srebrnego smoka, szczerzącego się do niej z jego środkowego palca.

Gdy wreszcie skończył, puścił jej dłoń i po ostatnim, niemal strofującym ukłuciu tego ostrego spojrzenia, odwrócił się. Wziął swój czarny brulion, po czym przewiesił sobie przez ramię sfatygowaną skórzaną torbę.

- Nie dzwoń po dziewiątej – powiedział, a następnie włożył sobie długopis za ucho i wymaszerował z klasy.

Twarz Isobel płonęła. Skóra mrowiła ją tam, gdzie jej dotknął, ledwie wyczuwalnym elektrycznym dreszczem – nie miała pewności, czy tylko sobie tego nie wyobraża. Jakby koniuszki jej palców w jakiś sposób zapadły w sen.

Spróbowała wszystko ogarnąć, najpierw swoje zmysły, a potem osoby, które pozostały w klasie. Bała się zobaczyć, kto zauważył, i ze zdziwieniem stwierdziła, że chyba nikt. Nawet Swanson Sokole Oko wrócił do swojego biurka, gdzie siedział, żując kanapkę i przeglądając szkolną gazetkę, „Głos Jastrzębia”.

Isobel znowu opuściła wzrok na swoją dłoń.

Ciemnofioletowym tuszem napisał: „V – 555-0710”.

Rozdział drugi
SINIAK

- Powiedz Bradowi? – spytała Nikki z nazbyt gorliwym błyskiem w ładnych, szafirowych oczach.

Isobel wprowadziła szyfr i kopnęła dolny, wyszczerbiony róg swojej szafki. Drzwiczki otworzyły się i ze środka wypadła kosmetyczka, która ze stłumionym trzaskiem uderzyła o podłogę, rozsypując zawartość.

- Nie – mruknęła i przykucnęła, by podnieść cień do powiek, w którym kostka brązowego barwnika rozkruszyła się na kawałki. Ciężko westchnęła, wpychając wszystko z powrotem do kosmetyczki, i znowu dostrzegła pochyłe, fioletowe cyfry, widniejące na jej skórze niczym insygnia.

- Dlaczego nie?

- Bo – odrzekła Isobel – zdaje się, że pan Swanson lubi chłopaka, a poza tym muszę dostać dobry stopień z powodu tego wypracowania, którego nie napisałam.

Podniosła się, by włożyć kosmetyczkę z powrotem do szafki, lecz Nikki ją powstrzymała, chwytając ją za nadgarstek i potrząsając jej dłonią.

- Izzy – powiedziała – popatrz na to! Napisał na tobie. Jakby oznaczał swoją następną ofiarę czy coś.

Isobel cofnęła rękę.

- Dobra! – odparła, odgarniając niesforne pasmo włosów za ucho. – Ustaliłyśmy już, że to dziwak. I na tym poprzestańmy. Brad nie musi wiedzieć.

Zerwała się, ucinając przygotowaną ripostę Nikki, zaskoczona tajemniczą ręką, która z brzękiem bransolet wyłoniła się zza otwartych drzwiczek szafki. Ręka przytrzymała jej uciekający błyszczyk w kolorze „lodowej maliny” między długimi palcami.

Isobel wzięła błyszczyk i cisnęła go do szafki, już mając bąknąć krótkie słowo podziękowania, gdy Nikki wtrąciła się, znowu łapiąc ją za nadgarstek.

- Znaczy, popatrz na to! – zawołała, podsuwając go sobie pod nos i uważnie oglądając cyfry, jakby zawierały jakąś ukrytą wiadomość. – To pewnie znaczy, że trafiłaś na jego listę śmierci albo coś. Ten gość to totalny świr w stylu mafii długich płaszczy.

Isobel znowu wyrwała nadgarstek z uścisku przyjaciółki i posłała jej zjadliwe spojrzenie.

- Nikki, jaja sobie robisz? To numer telefonu.

- Tak, wiem. Dostawia się do ciebie Lurch z rodziny Adamsów. Teraz będzie ci zostawiał martwe zwierzęta na ganku i potajemnie śledził twój profil na Facebooku.

- To nie tak. – Isobel znowu westchnęła. – Po prostu wpakowali nas w to razem.

Spoglądała w głąb swojej otwartej szafki, wymieniając książki.

Dla niej Varen Nethers, czyli „ten facet”, zawsze był jak przemykający cień, wyobcowana istota, która sunęła przez korytarze, nigdy nie chcąc, by jej przeszkadzano. Tak naprawdę, zapewne w ogóle myślała o nim ledwie parę razy, a i to tylko wtedy, gdy ktoś postanowił przywołać najnowszą zwariowaną plotkę o gotach. Do tego roku nie chodzili razem na żadne lekcje, a Trenton było na tyle dużą szkołą, że ich kontakty ograniczały się do minięcia się od czasu do czasu na korytarzu.

Isobel znowu podskoczyła, wyrwana z zamyślenia, i aż się zachłysnęła, gdy tajemnicza ręka znowu się pojawiła. Tym razem wyłoniła się nad drzwiczkami szafki, ściskając w placach znajomą tubkę w pistacjowym kolorze.

Isobel ostrożnie wzięła szminkę „Różowa Bogini”, po czym patrzyła, jak dłoń właścicielki sąsiedniej szafki znowu znika. Zerknęła na Nikki, która dała popis mrugania powiekami, zanim chwyciła drzwiczki szafki Isobel i je przymknęła. Dziewczyna jednak – miała chyba na imię Grace albo Gabbie – zatrzasnęła swoją szafkę, odwróciła się bez słowa i odeszła.

- Kurczę – mruknęła Nikki. Wyjęła szminkę z dłoni przyjaciółki, odchyliła drzwiczki z powrotem, a następnie podeszła, by skorzystać z lustra w środku. – Niech wraca do średniowiecza.

Isobel patrzyła za oddalającymi się plecami dziewczyny, której kasztanowe włosy, zbyt długie i zbyt proste, kołysały się w jednym rytmie z sięgającą ziemi spódnicą. Z ostatnim, cichym brzękiem bransoletek dziewczyna zniknęła za następnym rogiem.

- Tak czy siak – odezwała się Nikki, skończywszy się malować i wsunąwszy szminkę z powrotem do kosmetyczki Isobel. Wydęła wargi i cmoknęła. – Nadal uważam, że powinnaś powiedzieć Bradowi.

- Odpuść, Nikki. Nie powiem Bradowi – warknęła Isobel. – I ty też mu nie mów – dodała, zatrzaskując szafkę. W tym momencie wyraz twarzy Nikki zmienił się, przechodząc od pełnej oburzenia rezerwy do obrazy i irytacji. Isobel miała tylko ułamek chwili, by pożałować swoich słów, zanim przyjaciółka obróciła się na pięcie.

- Nikki – jęknęła, ruszając za nią.

- Wszystko jedno – wypaliła Nikki przez ramię. Lekceważąco machnęła ręką i przyspieszyła kroku. – Wiesz – dorzuciła – nie da ci spokoju, jeśli będzie wiedział, że ujdzie mu to na sucho.

Patrząc na podskakujący koński ogon przyjaciółki, związany wąską, niebiesko-złotą gumką z pomponikiem, Isobel miała poczucie winy. Może za bardzo się uparła, by sprawę numeru telefonu utrzymać w tajemnicy. Z drugiej strony, jeśli teraz ją dogoni i przeprosi, Nikki gotowa pomyśleć, że nic takiego się nie stanie, jeśli wszystko wypapla Bradowi.

Isobel stwierdziła, że jest zła na siebie. Za to, że powiedziała prawdę, podczas gdy powinna była coś zmyślić. Nie chciała się też oczywiście bawić w sekrety. Nikki była jej najlepszą przyjaciółką. Należała do ekipy.

Zwolniła kroku i pozwoliła, by Nikki poszła na obiad przed nią. Gdy straciła ją z oczu, wskoczyła do najbliższej toalety dla dziewcząt. Stanęła przy umywalce, odkręciła ciepłą wodę i wycisnęła sobie na rękę mydło z dozownika. Posmarowała cyfry grubą warstwą płynu.

Niczym kłęby dymu, ciemnofioletowy tusz rozpłynął się w liliowe smugi i zniknął w odpływie.

* * *

Tego dnia na treningu pomyliła skok.

Nigdy jej się to nie zdarzało.

Koniec obrotu, przewrót na rękach w tył, śruba. Przesadziła i musiała łapać równowagę na piętach. Uderzyła o podłogę sali gimnastycznej, lądując na tyłku z bólem kości i szczękiem zębów.

Trenerka Anne wydarła się na nią za to, ma się rozumieć i wstawiła jej stałą śpiewkę, że „jak się wywalisz, zawsze ktoś zobaczy”. Nic nie wkurzało trenerki bardziej, niż byle jakie, spartaczone figury, zwłaszcza kiedy zbliżały się grudniowe rozgrywki ogólnokrajowe. Miały precyzyjną, trudną choreografię. Zbyt precyzyjną i trudną, by posadzić kontuzjowaną dziewczynę na trybunach.

Nie zdziwiła się, że Nikki nie zaczekała na nią, by pogadać. Trenerka ostatni raz dmuchnęła w gwizdek. Isobel uznała, że szczególnie jej to nie przeskadza, zwłaszcza że zapewne chodziło nie tyle o wkurzenie wcześniejszą sytuacją, ile o chęć spotkania Marka po treningu futbolowym. Tak czy owak, cieszyła się, że nie musi wracać do kłótni przy szafce, a jeszcze bardziej cieszyła się, że już piątek. Potrzebowała odpoczynku.

Dobrze się złożyło, że przez kolejny tydzień nie było meczu. Dzięki temu fioletowiejący już siniak wielkości piłki tenisowej z tyłu uda zdąży zniknąć, zanim będzie musiała znowu włożyć kostium.

Wyszła z szatni i jak zwykle poszła korytarzem na tylny parking, zwolniła jednak, usłyszawszy głos Brada. Czyżby przyszedł jej szukać? Pewnie spędziła zbyt wiele czasu, przyglądając się siniakowi na udzie w lustrze w szatni.

- ...znowu z nią rozmawiać. Rozumiesz?

Skręciwszy za róg, stanęła.

Odziana w czerń postać kuliła się z plecami przyciśniętymi do rzędu niebieskich szafek. Pod pachą trzymała powycierany, czarny pamiętnik w twardej okładce. Brad górował nad nim, ubrany w niebiesko-złotą skórzaną kurtkę, która jeszcze poszerzała jego i tak potężne ramiona.

Varen, stosunkowo chudy i delikatny, nie mógł się przeciwstawić, a jedynie się trzymać. Opuścił głowę i czarne włosy zwieszały się w strąkach, okalając jego twarz.

Wezbrał w niej gniew, którego nie umiała wyjaśnić.

- Hej! – zawołała, podchodząc bliżej.

Varen podniósł wzrok, posyłając jej ostre, niemal oskarżycielskie spojrzenie, które osadziło ją w miejscu.

Miała ochotę dusić Nikki, aż odpadną jej te głupie, niebiesko-złote pomponiki.

- Co się, dzieje?

- Nic, mała. Nic – odparł Brad. Odsunął się od szafek, przeciągnął dłonią po gęstych, bursztynowych włosach, lśniących we fluorescencyjnym blasku i wciąż mokrych po prysznicu. Włożył rękę do kieszeni kurtki i podszedł do niej, drugą ręką obejmując jej ramiona i składając na boku jej głowy pocałunek ze słyszalnym „mmm”.

Twarz Varena pozostała nijaka, choć wbił w nią wzrok, czym sprawił, że świat wokół rozmył się i nie mogła się otrząsnąć.

Czy myślał, że pobiegła powiedzieć Bradowi? Ale z drugiej strony – co innego miał myśleć?

Otworzyła usta, by znowu coś powiedzieć, by wszystko wyjaśnić, lecz Brad zacisnął uścisk na jej ramionach, przyciągając ją do siebie. Ten gest, w połączeniu z zapachem dezodorantu i mydła Zest, przypomniał jej o jego obecności. Nadal działał w trybie macho i nadal miał w zasięgu dziwnego chłopaka, który spytał ją, na co się gapi, a teraz sam intensywnie gapił się na nią.

Zamknęła usta.

Pozwoliła Bradowi się odciągnąć. Opuścił rękę, by poklepać jej wrażliwy tyłek.

- Przestań – powiedziała, krzywiąc się, ale szła dalej.

Byle tylko oddalić się od tych oczu.